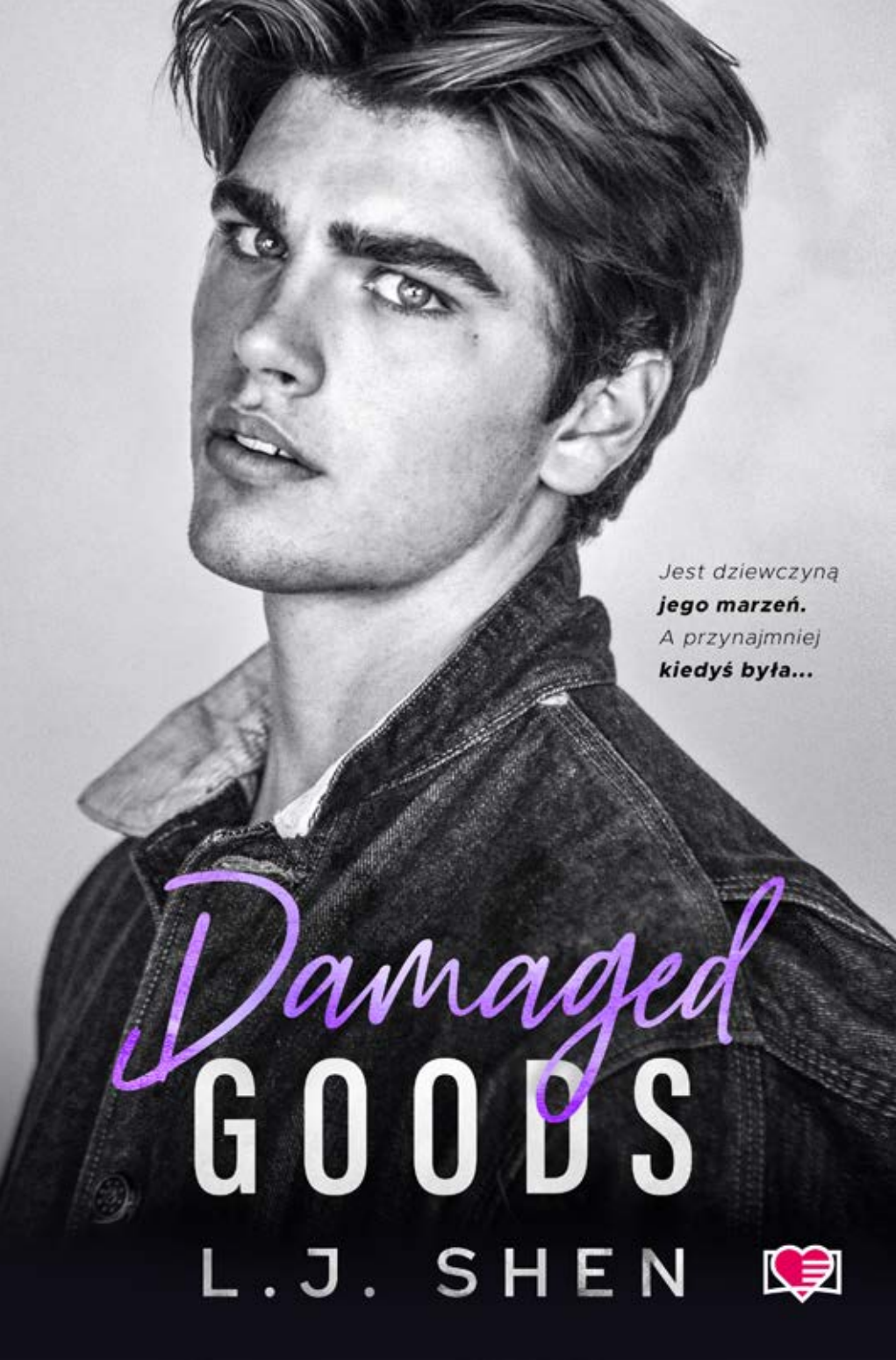




Jest dziewczyną
jego marzeń.
A przynajmniej
kiedyś była...

Damaged
GOODS

L. J. SHEN



Damaged GOODS L. J. SHEN

PRZEŁOŻYŁA

Anna Zaborowska-Cinciula



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Damaged Goods. All Saints #4

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Joanna Pawłowska
Redakcja: Justyna Yiğitler
Korekta: Katarzyna Kusojć
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024. DAMAGED GOODS by L.J. Shen
The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint
of Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

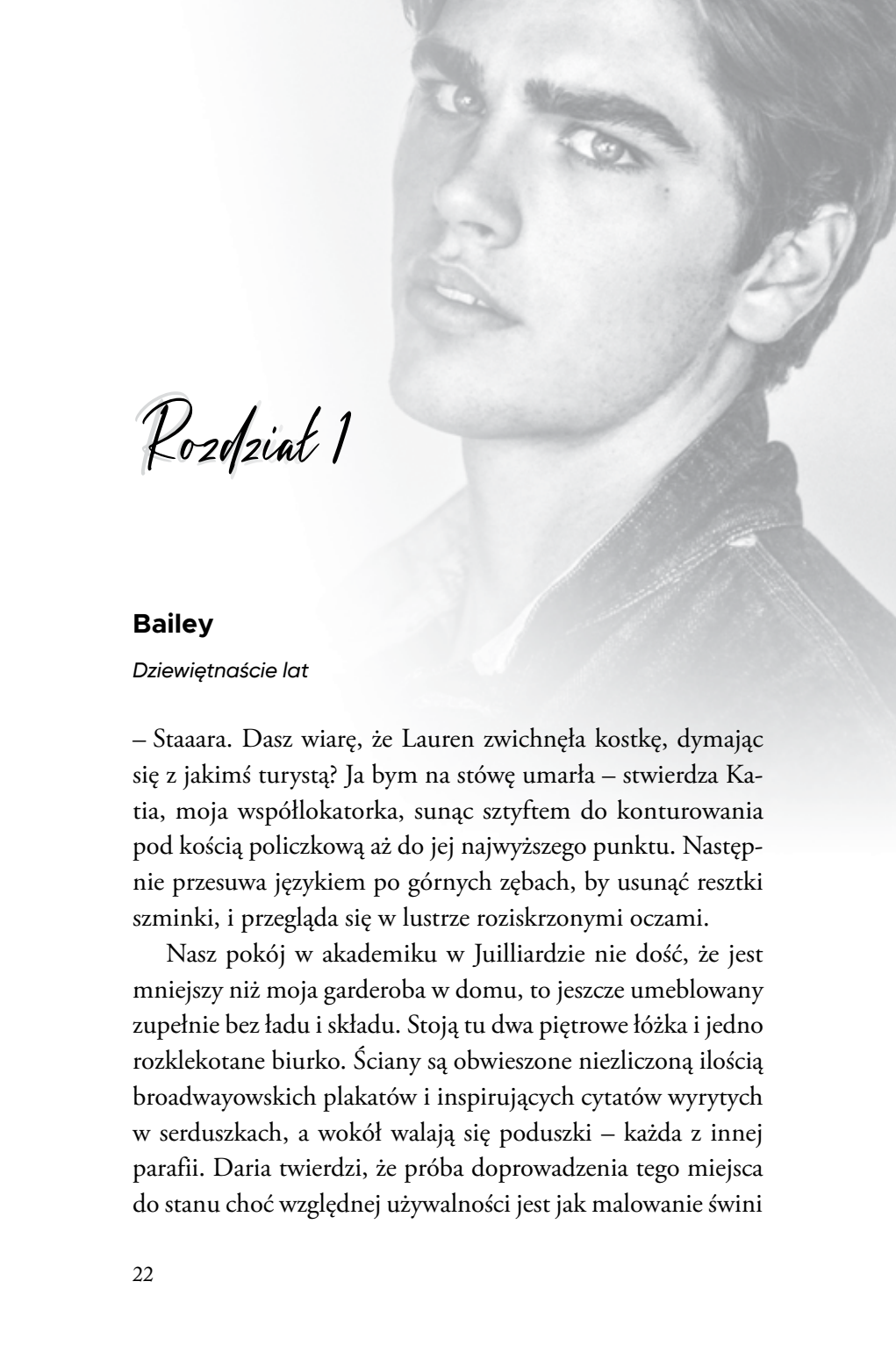
Copyright © for the Polish translation by Anna Zaborowska-Cinciąła, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2025
ISBN 978-83-8371-799-9

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl





Rozdział 1

Bailey

Dziewiętnaście lat

– Staaara. Dasz wiarę, że Lauren zwichnęła kostkę, dymając się z jakimś turystą? Ja bym na stówę umarła – stwierdza Kattia, moja współlokatorka, sunąc sztyftem do konturowania pod kością policzkową aż do jej najwyższego punktu. Następnie przesuwając językiem po górnych zębach, by usunąć resztki szminki, i przegląda się w lustrze roziskrzonymi oczami.

Nasz pokój w akademiku w Juilliardzie nie dość, że jest mniejszy niż moja garderoba w domu, to jeszcze umeblowany zupełnie bez ładu i składu. Stoją tu dwa piętrowe łóżka i jedno rozklekotane biurko. Ściany są obwieszane niezliczoną ilością broadwayowskich plakatów i inspirujących cytatów wyrytych w serduszkach, a wokół walają się poduszki – każda z innej parafii. Daria twierdzi, że próba doprowadzenia tego miejsca do stanu choć względnej używalności jest jak malowanie świni

szminką: kończy się zakupem piętnastu wieprzków i jednej szminki.

Z drugiej strony Daria pracuje jako doradczyni zawodowa w liceum, a nie jako światowej sławy balerina. Niemniej ponieważ sama nie dostała się do prestiżowej akademii Juilliard, z pewnością przemawia przez nią zazdrość.

– Hej! Ziemia do Bailey? Czy mamy wysłać ekipę poszukiwawczą, żeby znaleźli twój mózg? – Katia rzuca sztyft na biurko i chwyta pędzel, by równomiernie rozprowadzić makijaż. – Ta kretynka zniszczyła sobie karierę przez jakąś głupią randkę na Tinderze! Jest nawet bardziej żałosna niż Kylie, która przytyła i przez to straciła miejsce w Bolszoi.

– Ej, Kylie choruje na tocznię. – Odwracam głowę do tyłu. Okropna wredota z tej mojej współlokatorki.

– Seleną też, ale nadal wymiata. – Przewraca oczami. – Zawsze znajdują się jakieś wymówki, prawda? Jeśli naprawdę chcesz odnieść sukces w naszej branży, musisz się nieźle wysilić.

– Wiesz przecież, że lubię Lauren. Zresztą żadne wiarygodne źródła nie potwierdziły tej historii. – Nie zgadzam się na obrzucanie się takim łajnem, nawet jeśli stanowi to ulubiony sport moich rówieśników.

– Wiarygodne źródła? – piszczy Katia. – Suka ma nogę w gipsie i dostała bilet powrotny do swojej rodzinnej wsi Dupiszewo w Oklahomie. Czego jeszcze byś chciała? Dogłębnej analizy w „The Atlantic”?

Siedząc na naszym piętrowym łóżku, przytulałam poduszkę do piersi i usiłuję zmienić temat.

– Niech ci będzie. Czy teraz możemy pogadać o tym, jak bardzo podoba mi się ten twój nowy cień do powiek?

– Wiesz, że cienie to moja specjalność – odpowiada Katia, odwraca głowę i puszcza do mnie oczko, a jej platynowe blond

włosy opadają jej na ramię. Następnie prostuje plecy i wrzuca pędzel do kosmetyczki. Ma na sobie moją minisukienkę od Gucciego wyszywaną cekinami. Odziedziczyłam ją po Darii.

Katia przebywa tu na stypendium. Osiem lat temu wraz z mamą wyemigrowała z Łotwy do Stanów Zjednoczonych i od razu dostała się do Juilliardu. Trafiłyśmy do jednego pokoju w akademiku dla pierwszorzeczniaków, gdzie możemy się cieszyć studencką dietą, na którą (ku jej rozczarowaniu) składa się tylko ramen, minipizze i pokłady dobrych chęci. Próbowaliśmy interweniować, gdy zrezygnowałam z organicznych, bezglutenowych posiłków, które wykupili mi rodzice, gdy się tu wprowadziłam. Niemniej gdy skończyłam osiemnaście lat, świadomie postanowiłam całkowicie odciąć się od ich konta bankowego. Póki co radzę sobie całkiem nieźle.

Rzecz w tym, że im więcej taplasz się w bogactwie, tym bardziej wysycha twoja sadzawka kreatywności. Sztuka rodzi się z niedostatku. W sztuce przywileje stanowią ograniczenia. Sztuka polega na wykrwawianiu się. Umieraniu na scenie. Opowiadaniu swojej historii za pomocą jakiegoś narzędzia... może to być farba nałożona na płótno, glina, taniec lub śpiewanie. Jak do tej pory wyglądało moje życie? Zasadniczo sprowadzało się do paru prób nieudanego manicure'u i wyjątkowo niefortunnej fazy noszenia aparatu ortodontycznego.

Kiedys trafiłam na cytat z pisarki Amy Chua, która pytała: „Wiesz, co to jest obcy akcent? To oznaka odwagi”. I nie mogę przestać o tym myśleć. O tym, jak łatwo i szybko do tej pory potrafiłam się wpasować w otaczający mnie świat. O moim zaśpiewie rodem z Kalifornii, kardiganach w pastelowych kolorach i gwarantującym dobry start funduszu powierniczym.

Aż do teraz. Do czasu, gdy zaczęłam studia w Juilliardzie.

– Boszszysz, Bails, nie bądź taką nudziarą. Ja też lubię Lauren. Nawet jeśli okropna z niej suka, bo spiknęła się z byłym Jade. – Głos Katii przedziera się przez mgłę spowijającą mój umysł. Męczy mnie potworny ból. Doznałam trzech złamań przeciężeniowych: po jednym w każdej kości piszczelowej i w kręgosłupie, które teraz bezlitośnie pulsują, domagając się uwagi.

– Po prostu ją podwiózł na północ. – Marszczę nos. – To wszystko spekulacje...

– Szkoda tylko, że to akurat był jej ostatni rok – przerywa mi Katia. – Wiesz, że podpisała kontrakt na Broadwayu? Miała wystąpić w musicalu Hamilton. Przyjęli ją do zespołu. A teraz musi wrócić do Oklahomy...

– Montany – poprawiam, starając się stłumić ból.

– I będzie... harować na fermie świń jej ojca...

– Nie hodują świń.

– Nieważne, Bails. Słowo daję, w ogóle nie da się z tobą popychać pierdótek. Nie słyszałaś? Grzeczne dziewczynki nie trafiają na karty podręczników historii. – Katia wypija resztkę swojego piwa, po czym wyrzuca puszkę do kosza.

– Nieprawda – burczę, choć wiem, że zachowuję się jak irytująca, pruderyjna kujonka, ale mimo wszystko nie potrafię się powstrzymać. – A co z Eleanor Roosevelt? Albo Harriet Tubman, Ma...

– La, la, la, la – przekrzykuje mnie Katia i zatykając sobie uszy, rusza do drzwi. – Jesteśmy w college'u. Przyjechałam tu, żeby się dobrze bawić, a nie nauczyć czegoś nowego. – Zatrzymuje się z dłonią opartą na klamce i odwraca się do mnie twarzą. – Na pewno nie chcesz wpaść na imprezę u Luisa? Podręczniki ci nie uciekną.

– Wiem. I tak, jestem pewna. – Upuszczam telefon na ozdobną poduszkę i wskazuję głową na kostkę. W tym momencie jest

wielkości piłki tenisowej. – Chyba powinnam dać jej jeszcze odpocząć.

Katia się krzywi.

– Powiedz, że chociaż zvaliłaś ich z nóg na przesłuchaniu.

Raczej przesłuchanie zvaliło z nóg mnie. Dlatego musisz stąd jak najszybciej wyjść, żebym mogła zatopić się w środkach przeciwbólowych, niskich lotów reality show na Netflixie i rozczulaniu się nad sobą.

– Ta... – Połykam ostatnią spółgłoskę. – Ale ty baw się za nas obie, dobrze?

– Słowo harcerki. – Podnosi dwa palce, jak do przysięgi.

– Napisz do mnie, gdybyś gorzej się poczuła – dodaje, jak zawsze gdy wychodzi.

To właśnie cała ja. Bailey Followhill. Zawsze trzeźwy szofer. Zdyscyplinowana matematyczka bez nałogów. Entuzjastka działalności charytatywnej. Uznana za dziewczynę, która ma największą szansę zostać pierwszą prezydentką USA. Chłuba i skarb mamusi i tatusia. Zawsze gotowa ruszyć na pomoc tam, gdzie moja starsza, bardziej błyskotliwa siostra nie daje rady. Taka po prostu jestem. Panienka Wzór Cnót Wszelakich.

– Do zobaczenia rano, rybeńko. – Katia delikatnie porusza palcami w powietrzu na pożegnanie.

Z tymi słowami wychodzi, zostawiając mnie w chmurze oparów lakieru do włosów i czystej rozpacz. Wbijam wzrok w sufit. Pokój rozmazuje się za sprawą gromadzących mi się w oczach łez. Ból w nogach i kręgosłupie jest tak potężny, że muszę gryźć się w wewnętrzną stronę policzka, aż czuję w ustach smak krwi. Wiem, co powinnam zrobić. Robię tak od tygodni. No dobrze, niech będzie – od miesięcy. Choć jest to rozwiązanie tymczasowe, działa cuda i sprawia, że ból ustępuje.

Zasysając gwałtownie powietrze, schodzę z piętrowego łóżka i wlokę się do zamykanego na kłódkę pamiętnika. Tego samego, który dostałam od mamy w dniu, w którym zamieszkaliśmy w akademiku: „Zapisuj wszystko, Bailey. Każdą łzę. Każdy uśmiech. Każdą porażkę, każde zwycięstwo. I pamiętaj... diamenty powstają pod wpływem wielkiego ciśnienia. Nigdy nie przestawaj lśnić, mój słodki robaczku”.

Otwieram pamiętnik za pomocą kluczyka, który trzymam schowany pod doniczką... tak, mamy tu także rośliny, by zapewnić sobie trochę tlenu. Wiem, że kiedy zamek ustąpi, w środku nie znajdę ani jednej kartki. Ani jednego słowa czy śladu długopisu.

Sądzę, że stanowi to doskonałą metaforę mojego obecnego życia. Po trzech tygodniach studiów w Juilliardzie dosłownie wypatroszyłam błyszczący, różowy pamiętnik oprawiony w skórę, a zamiast zapisków umieściłam tam pudełko o wymiarach pięć i pół na osiem i pół cala, w którym trzymam tabletki. Nie żebym miała jakiegokolwiek problem z lekami na receptę... Głównie dlatego, że mój lekarz przestał mi je przepisywać już ładnych kilka miesięcy temu. Znalazłam inne sposoby, by je zdobyć.

Doktor Haddock uważał, że powinnam spędzić cztery tygodnie w łóżku z gipsem na prawej nodze, a potem rozpocząć fizjoterapię. Stwierdził wtedy: „Nie mogę przepisać ci znowu vicodinu, Bailey. Na pewno pamiętasz, że mierzymy się z prawdziwą plagą uzależnienia od oksykodonu”. Błagałam i prosiłam, wyklócałam się i negocjowałam, a następnie zaserwowałam mu garść niczym niepopartych faktów, które miały uzasadnić, że naprawdę bardzo potrzebuję tych środków przeciwbólowych. Skończyło się na tym, że przepisał mi ibuprofen, dzięki któremu przetrwałam dzisiejsze przesłuchanie. To samo,

na którym miałam poprawić słabą ocenę z baletu i elementów kompozycji tańca. Dałam z siebie naprawdę wszystko. Każdy gram energii. Rozciągnęłam do granic możliwości wszystkie więzadła i mięśnie. Ale okazało się, że to było niewystarczające.

Ja byłam niewystarczająca.

– Widzę, jak bardzo pani zależy, pani Followhill – stwierdziła jedna ze starszych choreografek, krzywiąc z niezadowoleniem usta i rytmicznie stukając długopisem w biurko. – Ale zapał bez umiejętności jest jak paliwo bez samochodu. Powinnaś wdrożyć technikę Alexandra i od nowa się nauczyć, jak wykonywać podstawowe ruchy. Musisz również poważnie popracować nad *plié* i *tendu*. Wrócić do korzeni.

Przymykam oczy i kręcę głową, dzięki czemu jej słowa przestają mi dźwięczeć w uszach. Uparcie się zastanawiam, czy naprawdę marzę o tym, by zostać primabaleriną, czy zwyczajnie ktoś mi to wmówił. W chwili narodzin mój los był przesądzony i z łatwością mu się poddałam. Mama dostrzegła we mnie potencjał, reszta przyklasnęła, a potem, gdy miałam jakieś jedenaście lat, zaczęły napływać zaproszenia od rozmaitych szkół baletowych i od tego momentu było z górki. Znalazłam się na szybkiej ścieżce do kariery baletnicy.

Sięgam po pudełko i placami badam jego wnętrze. Został ostatni ibuprofen. Nie ma śladu po benzodiazepinach, które poprawiłyby mi nastrój, ani po vicodinie, dzięki któremu z kolei zapomniałabym o bólu.

– Co, do kurki siwej? – syczę. Katia musiała mi sporo zwinąć. Jakimś cudem znalazła mój klucz. Na pewno miałam tu kilka tabletek xanaxu. Niemożliwe, że wszystkie pochłonęłam w niecały tydzień.

Chwytam tabletkę i połykam ją bez popijania, po czym podnoszę mój tak zwany pamiętnik i z wrzaskiem ciskam

nim w okno. Odbija się od szyby i upada na podłogę. Twarda okładka z kartonu spoczywa smętnie na starym dywanie, niczym primabalerina zastygła w pozycji konającego łabędzia. Głosy profesorów wciąż wirowały mi w głowie jeszcze kilka minut po tym, jak myśleli, że opuściłam pomieszczenie. Tymczasem ja klęczałam za zasłoną, zaciskając dłoń na kostce i starając się nie wyć z bólu. „Jest za mało rozciągnięta”. „Za mało energii”. „Czy to przypadkiem nie córka Melody Followhill? Pamiętam jej matkę. Nie określiłabym jej najjaśniejszą gwiazdą na nieboskłonie. Według mnie miała szczęście, że złamała nogę. Dzięki temu doskonale wyszła za męża. Jej córka może i jest od niej lepsza, ale nadal daleko jej do Anny Pavlovej”.

Ta wymiana spostrzeżeń odbyła się chwilę po tym, jak udało mi się ich przekonać, by pozwolili mi ponownie podejść do zaliczenia i stanąć na scenie, abym mogła zaliczyć semestr. Nie ma mowy, żebym ja, Bailey Followhill, geniusz niemający sobie równych, oblała pierwszy rok studiów.

Sięgam po telefon i przewijam kontakty, aż mój kciuk zawisa nad pewnym nazwiskiem. Payden Rhys. Pochodzący z Indiany baletmistrz o szczęce jak wyciosanej z marmuru, który zgarnął główną rolę w *Sylfidzie*, nawet się przy tym specjalnie nie pocąc. Dorabia sobie, handlując vicodinem, xanaxem i innymi imprezowymi smakołykami. Bardziej szemrany niż typy spod ciemnej gwiazdy i z całego serca nim gardzę, ale chcąc nie chcąc, spędzam z nim coraz więcej czasu.

Do końca semestru zostało już tylko parę miesięcy, a poza zajęciami z baletu moje oceny są tip-top. Nie mogę przecież wrócić wcześniej do domu. Nie mogę pokazać całemu światu, że moje najlepsze oceny okazały się wcale nie najlepsze. Poza tym muszę raz jeszcze podejść do tego zaliczenia, dostać dobrą ocenę, a potem będę miała całą przerwę zimową na ogarnięcie

kontuzji i porzucenie mojego niedawno nabytego uzależnienia od tabletek przeciwbólowych, które swoją drogą mam całkowicie pod kontrolą. Dlatego wysyłam wiadomość do Paydena.

Bailey: Chcesz się zabawić?

Doskonale wie, co mam na myśli.

Payden: Jak ostro?

W wolnym tłumaczeniu: „Ile potrzebujesz?”.

Bailey: Żeby dotrzeć do przerwy wiosennej.

Co oznacza: „Tyle, ile masz”.

Przyciskam plecy do drzwi i osuwam się powoli na podłogę, po czym chowam głowę między kolanami i zaczynam bezgłośnie szlochać. Nie potrafię znieść tego, że moje ciało nie nadąża za moimi ambicjami, za moim zapalem, za moimi ocenami na studiach. A jeszcze bardziej nienawidzę świadomości, że przez to ktoś taki jak Payden ma nade mną władzę.

Czasami mam ochotę się rozsypać, jak rozwiązują się satynowe wstążki moich point. Albo wirować tak szybko, że wszystkie drzemiące we mnie pokłady samoświadomości i lęków rozwieją się, a ja zostanę całkiem naga. W głębi duszy nie znoszę mojej starszej siostry Darii. Łatwo jest być kimś takim jak ona, ponieważ oczekiwania wobec niej są bliskie zeru. Ona akceptuje swoje niedoskonałości. Co więcej, obnosi się z nimi dumnie, jakby to były blizny, które odniosła w bitwie. Pokazała swojemu mężowi, przyjaciółom, naszym rodzicom najgorsze strony samej siebie i co wydaje się całkiem niemożliwe – ba,

wręcz nieprawdopodobne – to tylko sprawiło, że pokochali ją bardziej.

W moim przypadku taki scenariusz nawet nie wchodzi w grę. Nazywam się Bailey Followhill i jestem idealną małą baletnicą. Żaden szczyt nie jest dla mnie za wysoki, żaden egzamin nie jest za trudny. Masz problem? Zapytaj Bailey. Ona zawsze wszystko wie. No to czas na spoiler: nie mam pojęcia, co w tej chwili robię.

Trzy minuty później rozlega się pukanie do drzwi i Payden staje w progu mojego pokoju, a w jego brązowych oczach błyska łobuzerska iskra. Na powitanie pomaga mi wstać i wymierza klapsa w tyłek, który wywołuje nieprzyjemne pieczenie. Ten chłopak ma w sobie jakąś dziwną złośliwość, która doprowadza mnie do szału.

– Cholera, Bails. Uwielbiam popatrzeć na porządną przerwę między udami, ale u ciebie jest za duża nawet według moich standardów. – Czy wspominałam, że to kutas, który uwielbia wytykać innym defekty ich sylwetek? W dodatku szczeni się tym, że po jego uwagach ludzie zaczynają się czuć fatalnie we własnej skórze. Krążą słuchy, że w zeszłym roku podpadł kadrze profesorskiej, ponieważ oznajmił swojej partnerce do tańca, że jest za ciężka, żeby dało się ją unieść na scenie. Dziewczyna nie ważyła nawet czterdziestu pięciu kilo, a on zrównał ją z ziemią.

– Wyglądasz kijowo. – Podciąga nogawkę spodni i z dziurawej skarpety wyciąga torebkę strunową. W środku znajdują pojedyncze woreczki z tabletkami. – Płakałaś?

– Nie. Po prostu dokuczają mi te durne kontuzje – kłamię, po czym chowam dłonie w rękawach i pocieram nos. Chcę, żeby już sobie poszedł. Nienawidzę go. Ale to jedyny koleś, który sprzedał mi czyste benzo i można u niego kupić prawdziwy vicodin.

– Czyżby te piękne nóżki znów przyprawiały cię o ból głowy, Followhill? – pyta z papierosem zwisającym z kącika ust, machając mi przed nosem małą torebką pełną vicodinu. – Cóż, moja oferta, bym zanurkował między nimi językiem, pozostaje aktualna. Byłbym twoim najlepszym środkiem przeciwbólowym.

– Podziękuję – mamroczę, próbując stłumić raczej kiepskie wspomnienie nas razem. – Żaden z ciebie vicodin, Pay. Najwyżej pół advilu.

– Auć. – Śmieje się. – Gdybym nie miał wyjebane na to, co myśli o mnie jakaś rozpieszczona księżniczka z Todos Santos, z pewnością bym się obraził.

– To ty chciałeś dobrać mi się do majtek – przypominam.

– Dziwisz się? Bzyknięcie dziewicy zawsze było na mojej liście życzeń.

Wpatruję się w woreczek zawierający vicodin i zastanawiam, czy tyle pigułek wystarczy. Przed dzisiejszym przesłuchaniem wzięłam dwa ibuprofeny, a i tak zawałam swój układ choreograficzny. Mam wrażenie, że jeszcze chwila, a moje piszczelę pękna na pół.

– Masz coś mocniejszego? – Prawdę powiedziawszy, nie poznaję samej siebie w tej rozmowie. Nawet nie tknęłam trawki w liceum. Kiedyś Lev musiał mnie odebrać z imprezy, bo myślałam, że naćpałam się samym dymem, kiedy inni palili.

– Coś mocniejszego niż V? – Payden zawiesza głos i spogląda na mnie skonsternowany. – Jasne. Mam oksy, jeśli chcesz...

– Tak, chętnie spróbuję.

Po jego twarzy natychmiast przebiega cień.

– Chciałem powiedzieć „jeśli nie chcesz się jutro obudzić”. Nie handluję oksy wśród studentów i na pewno nie sprzedam go twojej chudej dupie.

– Przesadzasz. – Zwijam włosy w tak ciasny kok, że moja skóra na głowie krzyczy z bólu.

– Ani trochę. Jesteś na najlepszej drodze, żeby wkrótce zostać ćpunką pełną gębą, a one mają tendencję do umierania i co za tym idzie pakowania swoich dilerów w różnego rodzaju nieprzyjemności. – Przeczesuje dłonią swoje jasne włosy. – Słuchaj, wiem, że masz kasę, ale nie mam zamiaru ryzykować. – Jego wzrok z uznaniem błądzi po moim ciele od stóp do głów. – Na pewno nie chcesz powtórzyć naszej wspólnej nocy pełnej uniesień?

Jestem zbyt uprzejma, by oświadczyć wprost, że jego łóżkowe zdolności dorównują umiejętnościom martwego jeża.

– Zdecydowanie. Daj mi dziesięć tabletek vicodinu i możesz zmykać.

– Dziesięć? Bailey...

– Payden. – Unoszę brwi, wyciągając w jego kierunku otwartą dłoń. Kiedy ciągle stoi jak słup soli, wyciągam z szuflady portfel i rozkładam zwitek gotówki niczym magik robiący sztuczki karciane.

Widzę, jak przetyka.

– Laska, to już nie są lekkie dragi. Uzależniłaś się.

– Uzależniłam? Nie bądź śmieszny. Znam na pamięć internetową encyklopedię zdrowia. Muszę tylko skończyć ten semestr. Wytrzymam – dodaję, a Payden uparcie milczy. – Zresztą od kiedy się o mnie martwisz?

– Nie martwię się o ciebie – odpowiada beznamiętnie. – Tylko o siebie. Jestem zbyt utalentowany, młody i seksowny, żeby zgnić w pierdlu. Wiesz, co tam robią z takimi ładnymi chłopcami jak ja? – Układa palce wokół swojej twarzy, jakby ujmował ją w ramkę.

Unikają, bo jesteś cholernie irytujący?

– Nic mi nie będzie, Pay.

Ostatecznie jego instynkt przetrwania bierze górę nad sumieniem, więc wzdycha i bierze ode mnie pieniądze. Rzuca woreczek z tabletkami w moją klatkę piersiową i unosi palec w geście ostrzeżenia.

– Ja pierdzielę, kobieto. Jesteś moją najlepszą klientką na całym kampusie. Nie spodziewałem się tego.

No to jest nas dwoje. Poważnie, zupełnie nie rozumiem, dlaczego kiedykolwiek sądziłam, że przespanie się z nim to świetny pomysł.

– Wielkie dzięki. Miłego wieczoru. – Wskazuję podbródkiem na drzwi, od których dzieli go dosłownie krok. – Na razie.

Kiwa głową.

– Jesteś nieźle powalona, Followhill.

Cieszę się, że między nami nigdy nie zrobiło się poważnie.

– I wzajemnie.

Wypycham go z pokoju, bo najwyraźniej zupełnie mu się nie spieszy. Rozgląda się dookoła, jakby miał nadzieję, że zmienię zdanie na temat pójścia z nim do łóżka.

– Zmieniałaś tu coś? Wydaje się, jakby było tu jakoś inaczej...

– Payden! – strofuję go. – Spadaj, zanim cię uduszę.

Kiedy drzwi się za nim zamykają, wskazuję na górną część łóżka, ściskając w palcach torebkę vicodinu, a następnie biorę powolny, uspokajający wdech. Mogę wziąć jedną tabletkę i poczekać, aż zacznie działać, a w tym czasie będę musiała wytrzymać cały nagromadzony ból i lęk, albo... mogę wziąć dwie i od razu odpłynąć. Dzięki temu rano obudzę się gotowa na podbój świata. Będę wymiatać na scenie. Dostanę doskonałe oceny. Payden się myli. Nie jestem uzależniona. Próbuję tylko uratować swoją karierę, podobnie jak każdy inny tancerz na

tej uczelni. I... może nawet uda mi się zapomnieć o tym, jak zimny, samotny i okropny jest Nowy Jork.

Wysypuję dwie tabletki na otwartą dłoń i popijam odrobiną wody. Po dwudziestu minutach łożenia w kółko i wyginania się z bólu, biorę trzecią. W końcu czuję, że coś się dzieje. Pozwalam ciału opaść na łóżko. Mam wrażenie, jakbym dosłownie grzęzła w materacu. Głowa wsiąka w poduszkę.

Zapadam się...

Zanurzam...

Docieram do miejsca ukrytego tak głęboko i pograżonego w mroku tak gęstym, że światło nie jest w stanie się tam przebić.

Właśnie tam umierają marzenia.



Budzę się skołowana, dygocząc na całym ciele.

Nie powinno tu być tak zimno. Grzejnik jest maksymalnie rozkręcony, a ja mam na sobie obszerny sweter Darii od Valentina. Ostatni raz było mi równie lodowato w listopadzie, kiedy gość, który na mnie napadł, kazał mi się rozebrać do bielizny, ponieważ chciał zwinąć jedwabną sukienkę Vivienne Westwood w kolorze kości słoniowej, którą pożyczyłam od Darii. Akurat tak się złożyło, że nie wspomniałam o tym przykrym incydencie rodzicom, żeby przypadkiem nie odbiła im szajba. Zerkam na mój apple watch. Minęło zaledwie dwadzieścia minut, odkąd zasnęłam, ale i tak mam wrażenie, jakby moje powieki ważyły tonę. W dodatku oddycham z wyraźnym trudem, a ręce ktoś chyba przywiązał mi do łóżka. Z pozytywów – nie czuję już bólu w nogach. Za to zła wiadomość jest taka, że w ogóle ich nie czuję.

Brałam udział w tylu zajęciach z przeciwdziałania narkomanii, że potrafię rozpoznać oznaki przedawkowania. Moje ciało przeszywa gwałtowny dreszcz. Opuszczam rękę jak z łowiu na dywan, gdzie łąduje się moja komórka, jednak tracę równowagę i spadam z łóżka na podłogę. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę wstać. Jasna cholera, co mam robić?

Jakimś cudem udaje mi się zacisnąć palce wokół telefonu. Cała się trzęsę, ale w końcu odłączam go od ładowarki i spanikowana kieruję ekran na zalaną potem twarz. Odnoszę wrażenie, że mijają wieki, zanim się odblokowuje. Zastanawiam się, czy nie wybrać numeru Katii, ale uświadamiam sobie, że nie mogę marnować czasu na rozmowę z kimś, kto nie zrozumie powagi sytuacji. Dlatego wybieram numer osoby, do której dzwonię, gdy wpadam w tarapaty. Albo raczej do kogo z pewnością bym zadzwoniła, gdybym faktycznie kiedyś się w nich znalazła. Nieważne, że między nami zrobiło się dziwnie. Nieważne, że wyrwałam mu serce z piersi, wrzuciłam do blendera i ustawiłam maksymalną prędkość. Nieważne, że praktycznie mnie nienawidzi.

Naprawdę nie chodzi o to, że zostały nam tylko słodko-gorzkie wspomnienia i dwie postrzępione bransoletki. Zdaję sobie sprawę, że w życiu najbardziej brakuje mi jego obecności, a w dodatku czuję, że gdybyśmy nadal pozostali tym, kim byliśmy... kim tak naprawdę byliśmy... nigdy nie sięgnęłabym po xanax i vicodin.

Kiedy czekam, aż odbierze, zauważam, jak moje pole widzenia się zawęża, jak jego zewnętrzne krawędzie powoli ogarnia ciemność. Świat wokół mnie jest niczym zdjęcie trawione przez ogień, którego brzegi zaginają się do środka.

– Tak, Bailey?

Jego głos brzmi zdawkowo i beznamiętnie – wiem, że ma ku temu powody. Bailev przestali istnieć. I dokonałam tego

własnymi rękami. W słuchawce wyłapuję jeszcze dźwięki muzykę, śmiech i brzęk butelek piwa. Jest na imprezie.

– Lev... – Zamiast języka chyba mam kołek. Nie wierzę, że naprawdę wypowiadam kolejne słowo. – Przedawkowałam.

– Że jak...? – Słyszę, jak gdzieś w tle zamykają się drzwi, i hałas słabnie. Poszedł w jakieś spokojniejsze miejsce, żeby mnie słyszeć. Gardło mi się zaciska. Szlag, szlag, szlag. – Powtórz to – rzuca krótko. – I to, kurwa, migusiem.

– Przedawkowałam! Leki. Ja... chyba umieram.

Mimo że aż do tej chwili Lev był przekonany, że w całym swoim życiu nie zażyłam niczego silniejszego niż paracetamol dla dzieci, błyskawicznie orientuje się w sytuacji.

– Co wzięłaś? – Jego głos staje się miękki, ochrypliwy.

Zero osądzania. Zero agresji. Nie mogę uwierzyć, że oddaliśmy się od siebie. Nie mogę uwierzyć, że stało się to z mojej winy. I że być może rozmawiam z nim po raz ostatni. Ostatni raz w życiu.

– Miał być vicodin. Ale czuję się... inaczej. Coś jest nie tak. – Coraz płycej oddycham, moje ciało stopniowo się wyłącza. – Musisz zadzwonić po karetkę. – Próbuję przełknąć. Bezskutecznie. – I powiedz im, żeby wzięli ze sobą narcan. Na wypadek... no wiesz...

Kto powiedział, że bycie kujonką się nie opłaca? Naprawdę uważnie słuchałam na zajęciach z przeciwdziałania narkomanii.

– W sumie to, kurwa, nie wiem, ale o tym porozmawiamy później. – Słyszę, jak gorączkowo w czymś grzebie, i ten dźwięk wypełnia moje serce naiwną, irracjonalną nadzieją. – Nie rozłączaj się... ja pierdołę! Kurwa! Gdzie to jest? – warczy. – Musiałem skorzystać z telefonu Tha... telefonu kogoś innego. Zacznij liczyć do dziesięciu.

W innej sytuacji Bailey policzyłaby od tyłu, po łacinie, byle się popisać. Bailey w stanie obecnym – nawet nie próbuje. Za to jest na tyle głupia, że zastanawia się, kim jest „Tha...”? Koleżanką? Dziewczyną? Czyżby Lev się z kimś spotykał? To chyba nie najlepszy moment na pokazy zazdrości. Poziom tle-
nu w moim organizmie wyraźnie spadł. Wszystko z sekundy na sekundę ogarnia coraz większa ciemność.

– Lev, boję się.

– Nic się nie bój – warczy, choć brzmi tak, jakby bał się bardziej niż ja. Kiedy głośno przełykam, on zdaje się wyczuwać szalejącą we mnie panikę, bo pyta: – Czy kiedykolwiek pozwoliliśmy, żeby stało się nam coś złego?

– Tym razem możemy nie dać rady.

– Bailev mogą wszystko – oznajmia stanowczym głosem. – Powiedz to na głos.

– Bailev mogą wszystko – powtarzam słabo.

– Brawo, dziewczyno. Nie ma lipy.

Powieki mi opadają. Jestem taka zmęczona. Zbyt ociężała. Totalnie odrętwiała. Gdzieś na granicy świadomości rejestruję, jak Lev rozmawia z dyspozytorem pogotowia, a potem z administratorem mojego akademika. Jego głos jest spokojny, opanowany i władczy jak diabli.

Lev to kwintesencja przystojniaka. Szerokie barki, miękkie, pełne wargi, rozmarzone, uwodzicielskie spojrzenie i ciało, które sprawia, że Adonis przy nim wyglądałby na przeciętnego tatuśka. Ale wcale nie dlatego jestem w nim zakochana. Zakochałam się w nim, ponieważ to chłopak, który odkąd zobaczył, jak w wieku sześciu lat tańczy na bosaka w deszczu, zawsze wyciąga mnie z domu, gdy zimą zaczyna padać. Ponieważ całuje mnie w czoło, gdy jest mi smutno, i ogląda ze mną tandetne komedie romantyczne na Netflixie, kiedy mam PMS, ale

jednocześnie lubi ścigać się sportowymi samochodami i skakać z klifów na bungee.

Łączy w sobie szorstkość i delikatność, jest jak powietrze i woda w jednym. Jest dla mnie wszystkim, a jednocześnie w chwili obecnej także nikim. I kiedy teraz o nim myślę, czuję, jak pęka mi serce.

– Ja... Lev, ja... – ledwo chrypię.

– Wyjdiesz z tego. Pomoc już jedzie. A teraz przypomnij mi, w którym roku pozwolono kobietom tańczyć w balecie?

W 1681. Doceniam, że próbuje odwrócić moją uwagę, ale wargi mam jak z waty i nie jestem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Turkawko? – Jego głos przypomina kołysankę, która otula mnie jak miękki koc. – Jesteś tam?

Ciążą mi powieki, a po chwili pochłania mnie ciemność. Śmierć jest zimna, cicha i piękna i jest już tak blisko, że czuję na skórze jej oddech. Przychodzi mi do głowy, że jestem bardzo samolubna: narażam go na słuchanie, jak umieram, po tym wszystkim, przez co przeszedł.

– Odezwij się, Bailey! – Dobiega mnie odgłos tłuczonego szkła, po którym następuje soczysta wiązanka przekleństw. W tle słychać zaskoczony męski głos. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego odczuwam nagłą ulgę, skoro za chwilę umrę, ale przynajmniej wiem, że Lev ma u boku przyjaciela, który go wesprze.

Słyszę, jak Lev opuszcza imprezę, odrzucając propozycję udziału w zawodach, kto najszybciej zje pączka wiszącego na sznurku.

– Po prostu wytrzymaj – szepcze rozpaczliwie do słuchawki. – Powinni być u ciebie lada chwila, turkawko. Wytrzymasz, prawda?

– Lev... – wykrztuszam. – Przyejysz? Tu? Do Noego Joku? – bełkoczę.

– Tak – odpowiada bez zastanowienia. – Już jadę. Tylko musisz na mnie poczekać, dobrze?

Czuję, jak w gardle zbiera mi się piana, a przez zgromadzone w oczach łzy nic nie widzę. Zaciskam palce na bransoletce. Czarny, wytarty rzemyk ze srebrną turkawką. Lev ma identyczną, z którą nigdy się nie rozstaje.

Mam ochotę mu powiedzieć: „Nic dziwnego, że twoje imię po hebrajsku oznacza serce. Moje skradłeś i zawładnąłeś nim bez reszty”.

– Jak tam niebo, turkawko? – Słyszę, jak zamyka drzwi samochodu.

Ostatnie słowa, które udaje mi się z siebie wydusić, zanim tracę przytomność, brzmią:

– Pochmurne... Chyba spadnie deszcz.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca